

FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
17-100 Toruń, ul. Odmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl



Chojnice
++ Tow. Gr. P-AK
Knut Jan "Szyński"
ps. "Zubr"

M-1642/2594 Pom.

**SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI**

Jamnik Jan
.....

J. N-1642/2,594 Pom.
.....

Chejnice 50 W. Sp. B. - A 92
"Szybski"
.....

I./1. Relacja —

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora —

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora —

II. Materiały uzupełniające relację *k. 4 s. 1-5*

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora *k. 3 s. 1-6*

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —

III./5. Inne ... —

IV. Korespondencja

.....
.....
.....

V. Nazwiskowe karty informacyjne *k. 18*

VI. Fotografie *dwa i pół ikonografii*

1. Materiały uzupełniające relacje -
Gnut Jan

1. Wspomnienia a dowódcy „grupy Gnutów”,
[w:] W mroku mocy 3 lat okupacji na
ziemi chojnickiej 1939-1945, zebrał i oprac.
Szczepanicki K., Chojnice 1986, s. 42-49,
kserokop.

k. 4 s. 1-5



W MROKU NOCY
z lat okupacji na ziemi chojnickiej
1939 — 1945

ZEBRAŁ I OPRACOWAŁ
KLEMENS SZCZEPAŃSKI

*Złota Fundacja
A.H. w Toruniu
dawanie Hinf Woltrowski
ps. "Patryj"*

ZRZESZENIE KASZUBSKO-POMORSKIE
CHOJNICE 1986

WSPOMNIENIA DOWÓDCY „GRUPY KNUTÓW”¹⁾

Wróciłem w samą wigilię 1939 roku do Chojnic — minęły cztery lata od czasu kiedy ostatni raz widziałem moich bliskich. Nieustannie zadawałem sobie pytanie, czy aby rodzice żyją? Około godz. 9.00 wieczorem pociąg wjeżdża na stację — wszędzie mundurы różnego koloru i kroju. Wszędzie rozbrzmiewa język na tej ziemi obcy. Czuję bicie serca, będą kontrolowali? Nastrój świąteczny uspił jednak czujność zandarmierii dworcowej. Śmiało kroczyłem ku wyjściu. Ogarnęła mnie mroźna noc. Jeszcze 20 km lasem, aby dotrzeć do domu, do leśnictwa Płecno niedaleko Krzyża. Bezdrożami dotarłem do domu, miałem tylko jedną niebezpieczną przeprawę przez wieś Rytel, ale wioska tonęła w mroczach nocy, ni żywego ducha. Kiedy stanąłem przed objęciem leśnictwa nie przywiłtał mnie nawet jazgot psów, tylko sosny srebrzyły się w poświacie księżycy. Z pewną obawą zapukałem w łeńm upragniony głos matki. Powitanie nie było końca. Rodzice stracili pod Osiem we wrzesniu cały dobytek podczas bombardowania. Krzywda, która ich nieustannie spotykała, szczególnie ojca spychała ku odwetowi. Uradziłiśmy wspólnie ukrywać się w lesie.

Zacząłem nawiązywać kontakty z pewnymi ludźmi. Pod koniec grudnia 1939 zetknąłem się w lesie z leśniczym Konradem Nałęczem z leśniczówki Olszyny (nadleśnictwo Gieldon). Nałęcz miał kontakty z Gdynią przez swoją siostrę nauczycielkę z Wejherowa, która przed wybuchem wojny pracowała tam w zakładzie dla głuchoniemych. U Nałęcza ukrywała się ona oraz jego siostrzeniec, któremu na imię było Leszek. Siostra Nałęcza często jeździła na Wybrzeże — jak się później dowiedziałem do sztabu „Griffa”.

Moja grupa liczyła 15 ludzi a mianowicie:

1. Knut Jan — ps. Żubr
2. Nałęcz Konrad — ps. Oriik
3. Knut Franciszek — ps. Zajęc
4. Knut Teofil — ps. Lis
5. Knut Marceli — ps. Królik
6. Loboeki Józef

1) Spisał Edmund Sadowski z Czerska.

7. Loboeki Franciszek
8. Myszką Norbert
9. Kosikowski Jan
10. Kosikowski Bronisław
11. Kosikowski Józef
12. Zakrzewski Jan
13. Knut Jan
14. Knut Alojzy — *Kocub*
15. Werachowski Leonard

Uzbrojenie nasze składało się: z 2 ręcznych karabinów maszynowych — typu polskiego, 2 skrzyniek amunicji, 8 karabinów ręcznych typu Mauzer, kilku dubeltówek oraz z pewnej ilości granatów ręcznych i petard.

W grudniu 1940 spotkałem się w Płecnie płk. ks. Wryczą. Robił on na mnie wrażenie bardzo nerwowego i zmęczonego. Jednak pocieszał nas, że Niemcy muszą wojnę przegrać. Bardzo dobrym łącznikiem był nauczyciel Stopa, który w czasie okupacji pracował u Niemca jako robotnik w młynie w Młynkach. Młyn ten dawniej należał do Werachowskich. Bardzo odważnym był Kukliński z Wiela, który przywoził nam często wiadomości ze sztabu „Grupa Pomorskiego”. Został on w 1942 roku w bestialski sposób przez zandarmerię niemiecką z Wiela zamordowany, po aresztowaniu w Gdyni łączniczki Kinełskiej z Głuchego Boru pow. Kościerzyna. Po tym fakcie nastąpiły masowe aresztowania. Wyłapano przede wszystkim tych, którzy nie byli w lesie; niektórzy tylko przypadkowo uniknęli aresztowania. W ten sposób aresztowano mego brata Bronisława Knuta i Leona Labudę z Potęgowa, którzy po ciężkich przejściach w Gestapo w Neugarten nie zdradzili i dostali się w końcu do Stuthofu.

Nigdy nie zapomimy pomocy robotników leśnych z Kłodni braci Milkich, którzy z narażeniem życia dostarczali nam żywność do lasu, sami żyjąc w niedostatku. Najwięcej żywności organizowała dla nas matka, ojciec natomiast nie wiedział do jesieni 1944 roku, gdzie znajdują się jego synowie, chociaż przezuwał, że jesteśmy ukryci w pobliżu w lesie. Moja żona także nie wiedziała o naszych bunkrach, aby w razie aresztowania nie mogła Niemców poinformować o położeniu naszych domostw leśnych. Bieliznę naszą przemy matka i Leokadia Jaszewska z Kwiek.

W 1942 roku przywódca hitlerowców na Pomorzu Forster wydał odezwę do ludności, w której nie tylko proponuje, ale i domaga się przyjęcia grupy niemieckiej od Polaków urodzonych na Pomorzu. Ludność nie zgadzała się na tę propozycję i opierała się. Niemców bardzo to uraziło, ponieważ spodziewany żer armatni nie napływał w dostatecznych ilościach. W maju 1942 roku na tajnym zebraniu organizacja hitlerowska w Czersku postanowiła wywrzeć presję na młodzież polską pracującą u Niemców. Tu rej wodził Niemiec Gall, który królował w sklepie po Kiedrowskim w Czersku. U Galla był zatrudniony w sklepie Konrad Landowski. Niemcy podejrzewali go o kontakty z lasem, ponieważ bracia jego się też ukrywali. Landowski pochodził z Będzimerowic. Gall chciał dać przykład hitlerowcom miejscowym jak się werbuje na listę niemiecką. Nawiasem należy dodać, że Konrad Landowski cieszył się

dużym autorytetem u młodzieży polskiej, dlatego złamanie jego charakteru miało być ostrzeżeniem dla innych. Kiedy Landowski z miejsca odrzucił propozycję przejścia na listę niemiecką. Niemiec zwrócił się telefonicznie do gestapo w Chojnicach i do miejscowej policji, z żądaniem natychmiastowego aresztowania swego pracownika. Ponieważ powstało pewne zamieszanie w sklepie na skutek krzyku i wyzwiisk Galla, wykorzystał to natychmiast Landowski i uszedł do lasu. Po roku został ujęty przez policję niemiecką, którą naprowadził sołtys Brygant z Będźmierowic. Z trzech żandarmów, którzy dokonali aresztowania zapamiętałem nazwisko Niemca Filbrandta z Łęga.

Landowskiego okropnie męczono i bito w Chojnicach, a po dwóch tygodniach wysłano do Stuthofu, gdzie w ciągu tygodnia został zamordowany. Po tym wypadku młodzież masowo uciekała do lasu.

Jako dowódca grupy Knutów postanowiłem poszerzyć nasze gospodarstwo leśne i w ten sposób mieliśmy w swoim władaniu 8 bunkrów w rejonie leśnictw Płecno, Olszyny, Jezioro. Największy wysiłek włożyliśmy w budowę bunkra nr 2 w oddziale leśnictwa Płecno. Bunkier był położony w młodym zagajniku w pobliżu dwóch większych stawów leśnych. Przede wszystkim budować musieliśmy nocą. Odpowiedni materiał drzewny braliśmy z sagów, położonych dość daleko od miejsca budowy. Były to przede wszystkim szczapy. Wybraną ziemię wysypywaliśmy do pobliskiego stawu. Również ze świtem trzeba było zatrzeć wszystkie ślady. Przede wszystkim musieliśmy uważać na wyżyła Niemców, byłego polskiego leśnika nazwiskiem Korona, który mieszkał w leśnictwie Otrowy. Od 1942 roku miał on ochronę osobistą w postaci oddziału Wehrmachtu składającego się z 10 żołnierzy. Wśród nich było kilku włosowców, którzy mówili po rosyjsku i po polsku. Korona często organizował zasadzki na nas. Pewnego razu Leon Czartowski z Rytla wystany na zwiad dostał się w taką zasadzkę. Natychmiastowa pomoc wysłana przeze mnie na odsiecz uratowała Czartowskiemu życie. Korona uszedł wraz z Niemcami w 1945 roku. W 1947 roku dowiedzieliśmy się, że Korona pracuje jako leśnik koło Sławna. Brat mój Teofil udał się do tego leśnictwa. Korona poważniejszy go, zerwał ze ściany obraz Matki Boskiej, rzucił się na kolana i zastygając się obrazem wołał: „Przyszedłeś, żeby mi życie zabrać, wybac! Ja wówczas rozumiem straciłem!” Brat mój odwrócił się do niego i udał się do pobliskiego posterunku MO. Wrócił następnego dnia z milicją do leśnictwa po Koronę, lecz ten zdążył uciec nie pozostawiając po sobie śladu.

Bunkier, o którym mówiłem składał się z dwóch pomieszczeń. W jednym stały trzy piętrowe prycze, a w mniejszym pomieszczeniu był piec do gotowania i pieczenia chleba. Tam znajdowała się studnia oraz miejsce na zapas. Prowiant był zabezpieczony. Zapasu było zawsze na trzy miesiące. Bunkier posiadał wejście studzienne z pokrywą, odpowiednio zamaskowaną. Poza tym od bunkra ciągnął się tunel pod drogą prowadzącą do Kwiek do następnego oddziału leśnego. Posiadaliśmy aparat radiowy marki „Telefunken”. Tunel uratował nam życie, kiedy w lutym 1944 roku Niemcy nacierali na nas. Na ślad naprowadził ich prawdopodobnie leśniczy Korona.

Jak mówiłem po 1942 roku do lasu zaczęło napływać coraz więcej ludzi. Grupa nasza powiększyła się o dalszych kilku ludzi. Byli to: Jan Górniewicz

z Kwiek, robotnik leśny oraz trzech braci Krzusków z Kwiek. Bernard Krzuskowski zamordowany został podczas ucieczki z podwórzca rodziców w 1943 roku. Ponadto przybyli: Niemojewski (imięcia nie pamiętam) z Kwiek, rolnik, Bronisław Mądry z Siemnicy, obecnie pracuje w tartaku w Rytle, Leon Czartowski z Rytle, obecnie mieszka w Gdyni.

Sytuacja nasza w 1943 roku była coraz krytyczniejsza — dniem i nocą byliśmy w pogotowiu. Niemcy zaczęli wojskiem i specjalnymi oddziałami osadzać większe miejscowości jak Wiele, Brusy, Karstin, Rytel i poszczególne leśnictwa. Codziennie obserwowaliśmy patroli myszujące po drogach leśnych. Spodziewaliśmy się każdego dnia ich wizyty lub spotkania w czasie zmiany miejsca naszego postoju. Straszne wieści dochodziły nas z Wiele. Tam osadzono w tzw. willi Wysockiego specjalny oddział, doskonale uzbrojony i przyszkolony do walki z partyzantami. Posiadał on doskonałe środki lokomocji.

Na początku 1944 roku wybrałem się do Przytarni — mieliśmy tam łączników, odważnych i oddanych całym sercem walce z okupantem. Ludzie otwartym sercem przyjmowali szukających pomocy, a zwłaszcza takici, którzy mówili po rosyjsku i podawali się za zbiegów z obozu jenieckiego. Niemcy ten chwyt chętnie wykorzystywali. W ten sposób następowało szereg wypadków, m.in. wymordowano całe rodziny Zabrockich i Czapiewskich²⁾ w Przytarni. Wówczas w Przytarni zapanowała atmosfera zastraszenia i przerażenia. Mieszkańcy bali się wzajemnie. Tam w szczegółach dowiedziałem się o śmierci Ludwika Jajdzewskiego³⁾; przywiązano go do wozu zaprzężonego w parę koni, włożono do zmarzniętej ziemi, przy tym miał związane ręce.

W 1944 roku dołączyło do mojej grupy dwóch Rosjan — jenców zbiegłych z pracy. Jeden nazywał się Winogradów i pochodził z okolic Kijowa, a drugiego nazywaliśmy Stepanem — nazwisko jego uleciało mi z pamięci. W tym czasie postanowiliśmy uspokoić Ortsbauernführera Wiedenhöfta spod Mościsk. Łącznicy donieśli nam, że on głównie ponosi odpowiedzialność za wywózki na roboty przymusowe i do obozu w Potulicach Polaków spod Czerska, z Malachina, Kwiek, Kłodni, Krzyża itd. Wtargneliśmy do jego mieszkania i udzieliłiśmy mu dobrej lekcji na temat: „Jak ma się zachowywać w styżunku do Polaków”. Lekcja dobrze skutkowała — od tej chwili przestał szantażować Polaków.

Wkrótce spotkał nas, a mnie osobiście ciężki cios. Mój kuzyn Alojzy zachorował poważnie na wrzod, konieczna była dla niego pomoc lekarska oraz medykamenty. Ciotka Franciszka Stangrećiak z Czerska doniosła, że potrzebne lekarstwa posiada. Należy tu nadmienić, że Polki pracujące jeszcze obecnie w aptece w Czersku, pani Wiśniewska — żona aptekarza w Czersku i pani Błochowiakowa, z narażeniem życia przekazywały potrzebne lekarstwa do lasu. Wracam do Alojzego. Wybrał się on wieczorem po lekarstwa do Czerska, a o świcie, kiedy już wybierał się w drogę powrotną, wpadła żandarmeria z Czerska pod dowództwem żandarmów Kozanke i Hamer. Alojzego zbito i męczono, a następnie skrwawionego zawleczono do lasu Lipińskiego, tam

²⁾ Zabrocki i Czapiewscy zostali zamordowani 26 października 1944 r.

³⁾ Ludwik Jajdzewski został zamordowany 31 grudnia 1944 r.

kazano mu wykopać grób, stanąć twarzą do grobu i oddano strzał w potylicę, tak, że stoczył się w dół. Prawdopodobnie żył jeszcze, gdy zasypywano go ziemią. W tym samym czasie poważnie zachorował na gruźlicę Werachowski. Nie można go było dłużej trzymać w bunkrze, więc przesłaliśmy go wówczas do Chojnic. Pielęgnowała i ukrywała go u siebie pani Marksowa. Ponieważ Alojzy Knut pochodził z Podrąbionej, żandarmi dniem i nocą niepokoiili tam mieszkańców, a w pobliskim Smolewie, z zemsty, że śmierć Alojzego nie dała im nic konkretnego, wymordowali całą rodzinę Wąsów⁴⁾. Nadziei dodawały nam tylko wieści nadchodzące z frontu wschodniego. Wśród moich druhów nastąpiło pewne zahamowanie psychiczne, a szczególnie oznaką tego stanu była pełna obojętność i brak czujności. Wówczas wzięłam się do pracy wycho- wawczej. Przedstawiłem kolegom, że w lesie jest nas coraz więcej. Brataliśmy Niemców świadczy o tym, że nie mogą dać nam rady. Poza tym kazaliśmy obserwować pociągi, które dniem i nocą toczyły się ze Wschodu na Zachód, a co drugi pociąg zapelniony był rannymi. Dało to pewne efekty, ludzie zaczęli znowu dochodzić do równowagi. Spotkał nas jednak znowu ciós. Bardzo żywe kontakty utrzymywaliśmy z Kwiekami, ale odczuliśmy, że we wsi znajduje się jakiś szpicel. Opieraliśmy się tylko na pewnym wyczuciu. Kiedy wysła- łem jakiegos łącznika do wioski, już po pewnym czasie znalazła się tam żan- darmeria. Maks Krauze był wówczas żandarmem w Osiecznie, ale musiał tam kogoś mieć, kto mu donosił. Krauze zwany Czarnym Maksym wyjechał z ro- dziną tuż przed wybuchem wojny do Pily, a w tydzień po wkroczeniu Niem- ców wrócił do Czerska. Pewnym jest, że w 1939 roku należał do Selbstschutzu i brał udział w mordowaniu Polaków pod Gutowcem.

Niemiecka żandarmeria w Osiecznie słyneła z okrucieństwa w okolicy, tak jak żandarmeria w Wielu. Było to jesienią 1943 roku. Bernard Krzoska po- stanowił nocować w domu. Kiedy przybył do Kwiek nocą, natychmiast zja- wił się większy oddział żandarmerii z Czerska pod dowództwem Hahna i Ko- zanke. Ze świtem uderzyli na zabudowanie. Bernard natychmiast wyskoczył oknem, ale trafiony całymi seriami legł na podwórzu. Młodszy bracia Bernarda wykorzystali moment nieuwagi Niemców i zbiegli do lasu przynosząc nam hiobową wieść o śmierci brata. Bracia wówczas byli w wieku 15—17 lat. Wkrótce powtórzyła się niemal w sposób identyczny historia z Cieślakami. O świcie żandarmi wdarli się do domu Cieślaków aresztując matkę i syna. Do- wódca żandarmerii Hahn kazał budzić sasiada Piotra Żmicha z rozkazem za- pręgnięcia koni do wozu. Pobitego i skrwawionego Cieślaka rzucono na wóz, a następnie matkę. Zatrzymali się w lesie pomiędzy Kwiekami i Czerskiem. Tu matka i syn musieli dla siebie kopać mogiły. Cieślakowa rzucała się pod nogi żandarmom prosząc o życie dla syna. Skopano ją przy tym posługując się wyzwiskami „*ty polsko świnię, suko*” itp. W identyczny sposób zostały doko- nane następne morderstwa, np. opisane już zabójstwo Alojzego Knuta. Po tych wszystkich wypadkach urwała się częściowo nasza łączność ze środowiskiem.

⁴⁾ Pięciocobowa rodzina Wąsów została zamordowana 4 grudnia 1944 r. za współpracę z partyzantami.

Ogarnęła nas niepewność, zmienialiśmy stale nasze miejsce pobytu. Często no- cowaliśmy na ziemi, co dało nam się szczególnie we znaki zimą.

Wiosną 1944 roku prawdopodobnie w maju wybraliśmy się marszem ubez- pieczonym do Szczawin w celu wybudowania nowego bunkra. Mieszkał tam nasz łącznik Hamerski, który wskazał nam dogodne miejsce budowy. Była tam w pobliżu woda, teren falisty i kompletne bezdroża. Szczawiny znajdują się niedaleko zakrętu szosy Gotowiec — Gietdon. Kiedy dochodziliśmy do tej szosy — nadjeżdżał akurat samochód ciężarowy z Niemcami. Samochód staął, a Niemcy zaczęli się wyładowywać: było ich około 40, a nas 15 ludzi. Fakt ten daje dużo do myślenia: Niemcy jakby wiedzieli o naszych ruchach. Na- tychmiast otworzyliśmy ogień, Niemcy zaczęli w popłochu uciekać, a samouchód w te pędy zawrócił, ale trafiony w opony, stanął. Niemcy opanowali się, zor- ganizowali i zaczęli przechodzić do natarcia. My widząc, że nie damy rady, natychmiast oderwaliśmy się od nacierających Niemców. Podczas odwrotu zauważyłem kilku Niemców leżących, byli ranni albo zabici. Wieczorem dotar- liśmy do bunkra nr 1 pod Chłopowami. Organizując tu obronę obmyślałem dalszy plan działania. Około 6 dni panowało u nas ciągłe pogotowie, a cisza trwała nadal i łącznicy nie docierali. Wreszcie dowiedzieliśmy się, że posteru- nek obserwacyjny w leśniczówce został wzmocniony. Wówczas wydałem de- cyzję wybudowania nowego bunkra w okolicy Pęcna (bunkier nr 4).

W czerwcu 1944 roku miałem zdarzenie, które mogło się skończyć tragicz- nie. Od czterech miesięcy nie widziałem żony i synka, który wówczas liczył przeszło pół roku. Ponieważ żona miała nam przekazać pewne ważne wiado- mości, wyznaczyłem spotkanie na drodze prowadzącej z leśniczówki Olszyny do Gutowca. Zabrałem ze sobą czterech uzbrojonych ludzi. Żona miała to wszystko upozorować zbieraniem poziomek w lesie. Kiedy dochodziliśmy do umówionego miejsca, zjawili się nagle na rowerach patrol Niemców w sili: siedmiu żołnierzy. Żona przerażona zaczęła uciekać z dzieckiem na ramieniu w kierunku patrolu. W ten sposób znalazła się pomiędzy żołnierzami a nami. Żołnierze zauważyli nas. Spodziewaliśmy się, że dojdzie do walki, a bez- względnie widziałem już w swej wyobraźni zabita żonę z dzieckiem. Patrol jednak nacisnął tylko silniej na pedały i minął nas w odległości około 100 metrów. Prawdopodobnie bali się wdać z nami w walkę, a my baliliśmy się strzelać ze względu na żonę i dziecko, którzy znajdowali się na linii strzału.

Dużą rolę odegrał w naszej grupie Natęcz z leśnictwa Olszyny, jak i lu- niczy Mysza z Ostrowów. Natęcz był tak zwanym Forstschutzmannem⁵⁾, ja- k wszyscy polscy leśniczowie zatrudnieni podczas okupacji. Mógł swobodnie się poruszać po całym rewirze. Poza tym miał bezpośrednią styczność z wyższy- mi ogniwami „Griffa”. Szkoda niepowetowaną jest to, że Natęcz nie żyje. Wiele spraw można by było wyjaśnić, np. historię „Griffa” na terenie powiatu chojnickiego. W 1944 roku Niemcy wpadli na ślad bunkra w Modrzejowie koło Okręglika oraz drugiego bunkra koło Męcikała. Natychmiast padło po- dejście na Natęcza i na Myszkę. Podejrzewano ich obu o współpracę z bandami. Niemcy nie zdawali sobie sprawy z tego kogo ujęto. Od tej chwili

⁵⁾ Forstschutzmann — leśniczy.

los nasz zawisł na cieniułkiej nitce, jak i wielu innych z Rytla, Męcikata, Kosobud, Brus i Laski. Obaj okrutnie męczeni i bici do niczego się nie przyznawali i nie zdradzili nas. Tortur, jakie przechodzili, nie będę opisywał — ale zostali kompletnie wykończeni i w końcu osadzeni w Stutthofie. Cała nadzieja nasza opierała się teraz na Alojzym Dobieszu, który pracował w Giełdonie jako pracownik biurowy. Dobiesz przez pewien czas był z nami w bunkrze. Po arestowaniu Nałęcza i Myszki, tylko Dobiesz mógł nas poinformować o zamiarach Niemców. Łącznik z nadleśnictwa Laska (był to leśnik z zawodu, imienia już nie pamiętam) także do nas już nie docierał. Został w 1944 roku rozstrzelany. W 1944 roku docierał na nas jedynie ksiądz Wołoszyk, rodem z Konarzyń.

Ogarnęła nas wówczas kompletna niepewność. Byliśmy strasznie nerwowi. O byłe błahy powód wybuchały kłótnie. Trzeba było za wszelką cenę utrzymać dyscyplinę. Wtem dobiegła nas pod koniec września 1944 roku wieść, którą wypowiedział Forstmeister⁸⁾ Müller z Giełdonu: „Teraz dopiero się zacznie, bo kompania Wojska Polskiego wyładowała w Okoninach Polskich”. Była to prawdopodobnie grupa Miętkiego. Nadleśniczy ten powieiedział wówczas do pracowników Polaków: „Krzywdy Wam nie robitem”. Podkreślam, że od 1944 roku zaczętki z Niemcami nie szukaliśmy. Przewaga Niemców była wówczas ogromna, a wszelkie akcje natychmiast się odbijały na miejscowej ludności. W tym okresie wybito całą rodzinę Ciemińskich z Wiela za łączność z lasem.

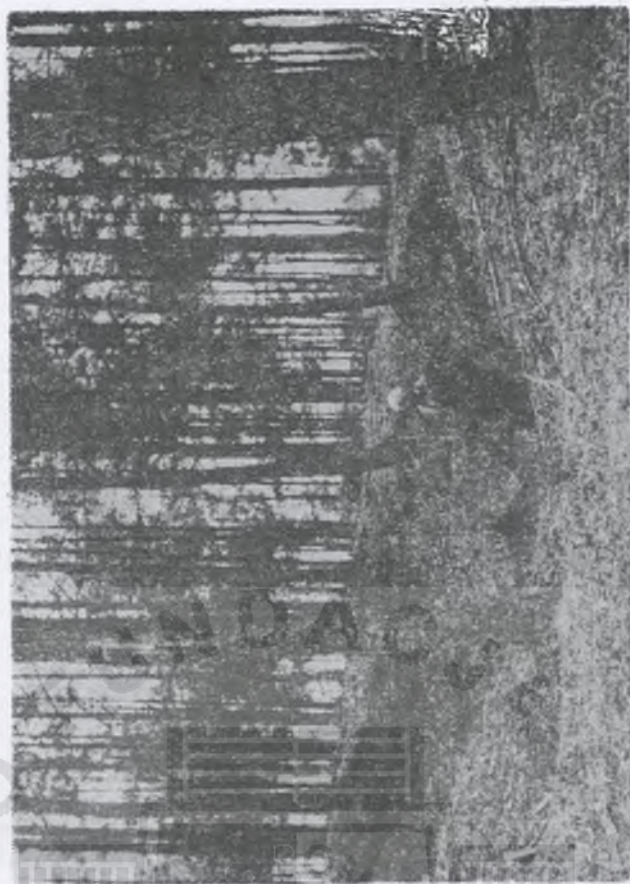
Bardzo często mieliśmy kłopoty z „dzikimi”, którzy nie podporządkowali się organizacji, a działali na własną rękę. Na skutek swego nieostrożnego postępowania przyczyniali się oni do represji ze strony Niemców. Usiłowaliśmy także nawiązać kontakt z desantem Wojska Polskiego, ale nam się nie udało. Od arestowania Nałęcza i Myszki trwalimy w ciągłym pogotowiu i opracowaliśmy kilka wariantów bojowych oraz obronnych. Przestrzegaliśmy zasady: nie dać się zaskoczyć przez Niemców. Na zmianę czuwaliśmy w pełnym uzbrojeniu. Najgorsze było to, że zaczynało brakować nam żywności. Codziennie, a szczególnie nocą słyszeliśmy ujadanie wilczurów — czuliśmy, że pierścienić zaczyna się zacieśniać.

Pewnej nocy mroźnej w lutym 1944 roku usłyszeliśmy warkot samochodu i komendę w języku niemieckim. Natychmiast wystaliśmy zwiady, które doniosły, że Niemcy są w ogromnej sile — z moździerzami i psami. Otaczali oddział leśny nr 188, a linie leśne zostały zaryglowane karabinami maszynowymi. Na mój rozkaz wszyscy weszli do bunkra i wczolgali się do tunelu, którym dalej mieli przejść do oddziału 189. Niemcy obrzucili 188 oddział pociskami z granatników. Wówczas dałem znak do wycofania się. W odgłosie strzałów i huków Niemcy nie usłyszeli, jak za ich linią zaczęliśmy wychodzić tunelem, stąpając w ślad poprzedniego i sypiąc w te ślady tabakę do zażywania, której mieliśmy pod dostatkiem. Około godziny 16.00 usłyszeliśmy silną detonację, prawdopodobnie nasz bunkier nr 8 został wysadzony. W czasie kanonady, która trwała kilka godzin, wpadli robotnicy leśni do mego ojca,

8) Forstmeister — inspektor, lustrator lasów.

np. Ossowski, Landowski i Milkowie, mówiąc z przerażeniem: „Niech Bóg ma ich w swej opiece”. Przez cały tydzień trwał pościg, szliśmy przez wody, bagna, a oczekiwanie psów ciągle nas prześladowało. Był to straszny okres.

Następnego dnia po wysadzeniu bunkra wezwano ojca do nadleśnictwa Giełdon. Na biurku, przy którym siedzieli gestapowcy, stał aparat radiowy marki „Telefunken”. Ojciec od razu poznał swój aparat. Gestapowcy z mieszcza zaczęli się pytać, kto ukrywał się w jego rewirze. Ojciec kategorycznie powieiedział, że nie wie i rzeczywście nie wiedział. Przez cztery godziny przeluchiwali ojca pod groźbami, ale w rezultacie został zwolniony. Gdy wrócił do domu powieiedział do matki, że najwięcej męczył go widok radioaparatu, który był podobny do naszego.



EGON TRZEBIATOWSKI PRZY ROZEBRANYM BUNKRZE W LEŚNICTWIE OLSZYNY

Od tego czasu byliśmy w ciągłym ruchu; budowaliśmy bunkry prymitywne, więcej nocowaliśmy pod gołym niebem niż pod ziemią. Cierpieliśmy głód i brud nas nękał. Ludność była przestraszona, szłał terror i szerzyły się denuncjacje. Tak przetrwalimy do jesieni. Wówczas wybudowaliśmy nowy bunkier nr 7. Przez front przeszliśmy pomiędzy Gutowcem a Rytlem, było nas wówczas 18 ludzi. Rozbrojono nas dopiero w Czersku. Wojsko radzieckie przyjęło nas bardzo gościnnie i z pełnym podziwem.

III/1. Materiały dotyczące rodziny
Gnuta Janie:

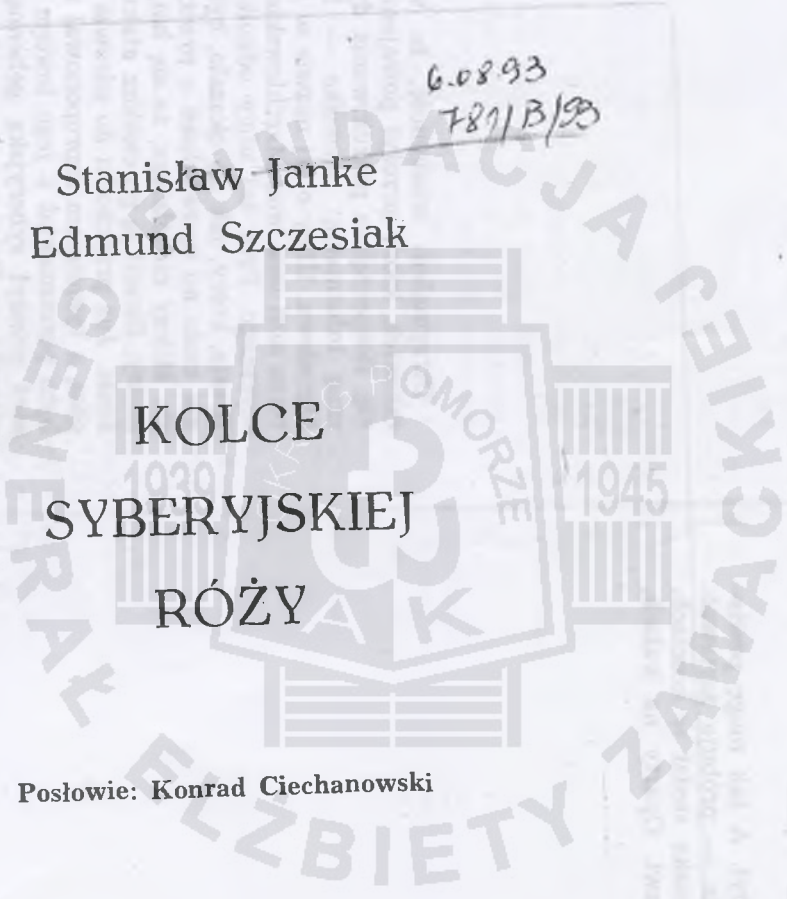
1. art. Rolce syberyjskiej różiny, [w:] Janke
Stanisław, Szczęsny Edmund, Wypł. Arkum
1990, s. 27-35, kserokop.

k. 3 3.1-6



6.08.93
789/B/93

Stanisław Janke
Edmund Szczesiak



Posłowie: Konrad Ciechanowski

ARKUN 1990

KOLCE SYBERYJSKIEJ RÓŻY

KOLCE SYBERYJSKIEJ RÓŻY

osób wyjdzie na wierzchni. Tyle lat utrzymywano to w tajemnicy. Nie było tego. I nagle — jest!

Bezplatna wycieczka.

— Panie, nigdy bym nie był. A tak mogę powiedzieć: zwiędziłem kawał świata — próbuje żartować.

I dodaje: — Do dziś ta wycieczka siedzi w kościach. Próbuje odprowadzić do drzwi. Oparty na kulach, włożył nogami.

— To Ural! — powtarza.

Otrzymałem wiadomość, że w Kartuzach mieszka człowiek, który przeżył powojenną wywózkę na Syberię. Rozpocząłem poszukiwania dysponując nader skromną informacją: nazwisko — Knut, adres — ulica Ogrodowa. Ulicy o tej nazwie w Kartuzach już nie ma, teraz nosi ona imię Marchlewskiego, działacza komunistycznego. Przy tej ulicy odszukałem dom Franciszka Knuta, który, jak się okazało, był na Syberii, ale teraz nie może mi opowiedzieć o przeżyciach z tamtego czasu. Milczy nie dlatego, że się boi, ale z powodu utraty mowy. Stracił ją po ciężkim ataku choroby układu krążenia. Już przychodzi do zdrowia i zaczyna odzyskiwać głos, a tymczasem zaproponował mi, z pomocą rodziny, bym porozmawiał z jego bratem Teofilem, który również przeżył syberyjską gehennę i od czternastu lat mieszka w Polanowie, w małym miasteczku w województwie koszalińskim.

Teofil Knut z Kartuzami związany był w okresie młodości. Przez pięć lat terminował tu w zakładzie fryzjerskim Teofila Pałusza. Ojciec był leśnikiem w Wygodzie nie opodal Mojusza. Kilka lat przed wojną przeprowadzili się do leśniczówki w Płecnie pod Chojnicami. W lutym 1939 roku Teofil Knut został powołany do

wojska. Służył w 3 batalionie artylerii przeciwlotniczej w Gdyni. W pierwszych dniach września 1939 roku walczył pod dowództwem płk. Stanisława Dąbka o Kępę Oksywska. Po zakończeniu heroicznej obrony 19 września został wzięty do niewoli niemieckiej i osadzony w obozie pod Stargardem Szczecińskim. Początkowo pracował w pobliskich majątkach ziemskich, później Niemcy skierowali go do pracy we fryzjermi w koszarach wojskowych.

— W tych koszarach — wspomina — pracowała grupa polskich cywilów z Bydgoszczy. Byli hydraulikami. Pewnego dnia spotkałem ich w ubikacji i zapoznałem się z nimi. W sobotę 15 czerwca 1941 roku przynieśli cywilne ubranie, w które się przebrałem i wyszedłem razem z nimi do pracy. Zaprowadzili mnie na dworzec kolejowy, wykupili bilet, a ja wsiadłem do pociągu i bez żadnych komplikacji przyjechałem do domu. Ukrywałem się u znajomych w Płecnie i okolicy. Zysywałem w ciągłym napięciu i strachu. Gdy w lagrze spisywali adres ostatniego miejsca zamieszkania, podałem prawdziwy — Chojnice, bo tam pracowałem jako pomocnik fryzjerski. Być może w Chojnicach szukali mnie, ale do Płecna nie przyszli. Później czułem się coraz pewniejszy i przed miejscową ludnością w ogóle się nie ukrywałem. Ufałem, że mnie nie zdradzą.

W tym czasie zapisał się do Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”. Do „Gryfa” należał również Franciszek i pozostali bracia — Jan i Marceli, dziś już nieżyjący. Gdy rodzice Knutów zostali zmuszeni do podpisania listy trzeciej grupy narodowościowej, bracia w obawie przed powołaniem do Wehrmachtu zaczęli ukrywać się w lesie. Teofil Knut również poszedł do lasu. Wszyscy należeli do oddziału partyzanckiego „Szyszki”, którym dowodził Jan Szalewski „Soból”. Jan Knut, najstarszy z braci, był dowódcą jednej z grup tego oddziału. Ukrywali się w bunkrach usytuowanych w okolicach leśnictwa Giełdoń pod Chojni-

cami. W leśnym ukryciu przeżył, jak mówi, trzy zimy. Gdy zbliżał się front przebywał z braćmi w okolicy Gutowa. Było to w lutym 1945 roku.

— Stacjonowaliśmy w leśnej dolinie z paroma innymi grupami — opowiada. — Któregoś popołudnia zaczął się kolejny atak wojsk rosyjskich i wszyscy w obawie przed przypadkowym trafieniem potoczyliśmy się na ziemię. Leżeliśmy plackiem przez parę godzin, a wokół nas rozpryskiwały się gałęzie i wióry. Uspokoiło się, gdy nastąpiła szarówka. W nocy nasi podczołgali się do drogi zobaczyć, co się dzieje. Przyszli z wiadomością, że są tam jeszcze niemieckie patrole. O święcie gołem właśnie Jana, gdy usłyszeliśmy: „Chłopaki, Ruski są”. Powiedziałem wtedy: „Poczekajmy jeszcze, na razie wszyscy ogolmy się i odpowiednio ubierzmy”. Brat jednak nie chciał czekać, szybko ubrał kurtkę i popędził do nich. Rosyjski znał dobrze, bo przed wojną przebywał w Łucku na Wołyniu. Po chwili przyprowadził trzech oficerów rosyjskich, a ci zaprowadzili nas wszystkich do sztabu. Tam wypytywali, skąd się wzięliśmy w lesie i kazali zdać broń. Zostaliśmy zaprowadzeni przez żołnierzy do wioski Kwieki. We wiosce powiedzieli nam, że mamy poszukać sobie na nocleg jakiegoś mieszkania. Jeden z kolegów wtedy rzekł: „Ja mam tutaj swój dom. Matkę i brata zabili Niemcy, dom jest pusty, tylko w jednym końcu mieszka samotna kobieta”. Zaprowadził nas do tego domu. Zaliśmy jeden pokój, a w drugim urządzili się Rosjanie. Kolega w obecności rosyjskiego żołnierza powiedział, iż ta kobieta, zdradziła Niemcom, że matka i brat współpracowali z partyzantami, i Niemcy wywieźli ich do lasu i zabili. Rosjanin słysząc to natychmiast podał mu pistolet i powiedział: „Skoro tobie wyrządziła krzywdę, wyprowadź ją na gnój i zabij”. On oczywiście odmówił. Nie miałby sumienia, gdyby tak postąpił.

— W tym domu, w Kwiekach, spisali nasze dane i nagle, pod wieczór, przepędzili z pokoju i kazali no-

cować w chlewiku. Namieśliśmy sobie do tego chlewiką słomy i chcieliśmy się położyć, ale znowu nastąpiła zmiana decyzji: mamy iść do Czarska; a to było jakieś siedem, osiem kilometrów. W Czarsku zaprowadzili nas do jakiegoś dużego domu i kazali dokładnie opróżnić kieszenie. Pozabierali wszystko. Gdy pytalimy dlaczego to robia, odpowiadał oschle: „Takoj prikaz”. Przesiedzieliśmy tam cały dzień. Drugiego dnia przyszedł jeden z oficerów i powiedział, że mamy pójść na podwórko, ogolić się i umyć. Potem oddali nam wszystkie rzeczy, które zabrali i powiedzieli: „Jestecie wolni. Idźcie do domu i czekajcie na polskie przedstawicielstwo”. Chcieliśmy, by dali nam jakieś papieri, zaświadczenia, że nas zwolnili, ale oni powiedzieli, że żadnych dokumentów nam nie trzeba, bo drogę mamy wolną i nikt nas nie zatrzyma. Grupkami, po kilka osób, udaliśmy się do domów. W naszej grupie było pięć osób — nas czterech braci i jeden kolega. Szliśmy do domu i oddychaliśmy z ulgą. Nareszcie wolni. Najstarszy brat miał zaszytą w kurtce paczkę papierosów. „Te papierosy zapalimy dopiero wtedy, gdy odzyskamy wolność” — mawiał. Uszczęśliwieni paliliśmy te papierosy, kiedy raptem, jakieś pięć kilometrów przed domem, przypędzili na koniach dwaj rosyjscy żołnierze. Zatrzymali nas i kazali zawrócić. Zaczęliśmy się tłumaczyć, że niedawno zostaliśmy zwolnieni, ale to nic nie pomogło. Powiedzieli, że przyszedł inny rozkaz i nie mamy dyskutować. Poprowadzono nas do Sliwic, gdzie zatrzymano już wcześniej sporo ludności cywilnej. Cywilów zostawiono, a nas, partyzantów, przewieziono pod straż samochodami do Chełmna. Tam byliśmy więzieni pięć dni. Później przewieziono nas do Działdowa, gdzie zastaliśmy olbrzymią rzeszę ludzi w podobnej jak my sytuacji. W nocy, a zawsze o tej porze nas przemieszczano, zostaliśmy przewiezieni na pierwszą stację za Działdowem. Tam stały wagony towarowe i do nich nas zapędzili. W wagonach były dREW-

niane piętrowe prycze. Położyliśmy się na nich tak jak stalimy, bez żadnego przykrycia. Był wtenczas mróz i gdy zasnąłem, twarz przymarzła mi do tej pryczy. Odczuwam to do dzisiaj. Transport ruszył najajutrz przed południem. Na jednym z postojów ujrzelśmy stogi ze słomą. Pozwolono nam tę słomę zebrać i wyłożyć nią prycze.

— Było to jeszcze na polskich terenach, gdy aptekarz z Czarska i jeszcze jeden zgłosili, że są chorzy i zostali przeniesieni do specjalnego wagonu-lazaretu. W tym wagonie powiększyli dziurę, która służyła ludziom do załatwiania się i uciekli. Po tym wydarzeniu pociąg zatrzymywał się nocą w polu, a Rosjanie otwierali wagony i strzelali na oślep. Wielu wtenczas zginęło. Jak już przyszła noc, a transport zatrzymywał się, każdego z nas ogarniała trwoga. W tym transporcie jechałem razem z najstarszym bratem. Pozostałych braci zatrzymano w Działdowie i oni jechali później. Pociąg w tamtą stronę trwał osiem tygodni i była jednym wielkim koszmarem.

— Przywieziono nas do miejscowości Róża na Nizynie Syberyjskiej. Gdy wyszliśmy z wagonów, kazano ustawić się w szeregu, a Rosjanin, przechodząc obok nas, zaczął wywoływać niektórych, by wystąpili. Wywołał brata, a ten dał mi znak, bym dołączył. Przystąpiłem do niego, Rosjanin spostrzegł to, ale nic nie powiedział. Brat chciał, byśmy się nie rozłączali, bo razem zawsze łatwiej. Grupa wywołanych z szeregu została zatrudniona przy sprzątaniu transportu. Wyciągaliśmy z wagonów trupy. Ułożyliśmy je potem w trzech wagonach. Tych zmarłych i zabitych zrzucano później w jedno miejsce i przysypano śniegiem. Gdyśmy sprzątali wagon, w którym przewożono chorych, spostrzegliśmy staruszkę, Rosjanina, wygarniającego z zabrudzonej wydzielinami słomy resztki sucharów. Żołnierze przeganiali go kolbami. Spytaliśmy go, po co to zbiera, a on powiedział: „Sup, sup”. Chciał z tego

ugotować zupe. Wtedy z całą jaskrawością uzmysłowiliśmy sobie, co to jest kraj komunistyczny.

— W Róży zakwaterowali nas w starych, zapadających się ziemiankach. Były długie i ciasne, a każda mierzyła co najmniej sto metrów. Wokół tego obozu były różne fabryki, młyny, cegielnie i kopalnie. Ziemia tam była czarna i zyzna. Jak spadł deszcz, to płatami lepiła się do butów. Spaliśmy tylko na żerdziach, bez przykrycia. Kąpiel była raz w miesiącu i wtedy także zapędzano nas do odwzawienia. Do jedzenia dostawaliśmy tylko trochę kaszy i chleb z żytnich plew, czasami trafiło się coś z amerykańskich konserw. Ci, którzy byli więzieni w Stutthofie, mówili, że nawet tam nie było takiego lichego jedzenia. Głód, choroby i odmienny, surowy klimat przyczyniały się do dużej śmiertelności. A zmarłych tam nie grzebano, tylko wyrzucano na gnojowisko.

— Po jakimś czasie zostaliśmy przebadani przez dwie felczarki. Wówczas też przyznawano kategorie zdrowia od I do V. Do tej ostatniej zaliczono w ogóle niezdolnych do pracy. Tych z I i II zatrudniono w kopalni. Brat i ja otrzymaliśmy III kategorię, czyli byliśmy zdolni do prac na powierzchni. Wywieźli nas do innego obozu, w pobliżu Róży, gdzie stały trzy ogrodzone baraki. Tam już były trochę lepsze warunki. Grupa, do której nas przydzielono, miała za zadanie wybudować nowy lagier. Niewysoki Rosjanin ze szramą na twarzy, o przenikliwym wzroku, wywołał mojego brata i wyznaczył go na „komandira” grupy. Wybrał także pięciu innych, a wśród nich również mnie. Jako funkcyjni stanowili coś w rodzaju sztabu i mieszkaliśmy w jednym pokoiku. W tym obozie pracowało bardzo dużo kobiet z Bydgoszczy i Działdowa. Ścinały w lesie drzewa, rąbały na bale, które na plecach przynosili do obozu. Z tych bali budowały baraki. Ja początkowo nic nie robiłem, bo nie mieli dla mnie narzędzi. Później chodziłem każdego rana do pracy w po-

bliskiej fryzjermi wojskowej, w koszarach dla żołnierzy, którzy trzymali straż w obozach. A tych lagrów było tyle, że jak okiem sięgnąć wszędzie się je widziało. W koszarach, w kuchni, pracowały Polki i czasami coś lepszego podsunęły mi do jedzenia. Jesienią wszyscy mieliśmy nieco lepsze jedzenie. Wtedy już była kapusta, liście z buraków, kartofle. Sami to wszystko zaszadziliśmy. Żołnierze pilnowali tych pól, by miejscowa ludność nie wybrała z ziemi właśnie co zaszadzonych kartofli. Ci ludzie byli bardzo biedni. Najgorzej żyło się samotnym mężczyznom, często specjalistom w fabrykach i kopalniach, którzy pochodzili z innych regionów. Przeważnie mieszkali w budach, które sami zbili z różnych kawałków drewna i dykty. Jedzenie, porcje przydzielonej kaszy, gotowali na ognisku, w puszkach, po konserwach.

— Pamiętam, że któregoś dnia położono w wólcynie pomieszczeniu baraku osiemnastoletnią ciężką dziewczynę. Felczarka, rosyjska Żydówka, i sanitariuszka, Rosjanka, co chwilę do niej zaglądały. Pomyślałem sobie — jakie to one są opiekuńcze i troskliwe. Nagle usłyszeliśmy niesamowity krzyk. Gdy przybiegliśmy, zobaczyliśmy, jak te dwie wydzierały sobie brudne majtki nieżyjącej już dziewczyny. Zglądały do niej, bo czekały na jej śmierć. W tym obozie była też inna chora dziewczyna, Niemka. Dziewczyna brudna i zanieczyszczona, a na głowie miała kołtun. W kołtunie wszy — niczym rój pszczoł. Felczarka nie chciała się zgodzić na ścięcie tego kołtuna, bo wierzyła, że jak się go zetrze, to dziewczyna umrze albo ją pokreśli. By ją przekonać powiedziałem, że tak wielu ludzi tutaj umiera, iż możemy i tę dziewczynę poddać śmiertelnej próbie. Mężczyźni wynieśli chorą na dwór, wykopali dołek, a ja ubrałem się w pożyczony od kolegi płaszcz ze skajlu i ściałem ten kołtun. Wrzuciłem go do tego dołka i zakopałem. Później ta dziewczyna, gdy ją wykopano i przyszła do zdrowia, wypiękniała, była jak lala.

— Od jakiegoś czasu mówiono, że nas wypuszczą, bo Mikołajczyk przyjechał do Polski i bardzo się tego domaga. Pewnego dnia znalazłem się z bratem w grupie, którą zaprowadzono do wioski. Kazano nam czekać przed szkołą. Przez okna widzieliśmy, że tam za drzwiami stało dwóch roslých męczeln i bili tych, którzy tam wchodzili. Gdy ja zostałem wywołany, cała się trząsałem ze strachu. Nikt mnie jednak nie uderzył. W pokoju były stoły, a za nimi siedzieli Rosjanie. Kilku ich było. Zdziwiłem się, gdy powiedzieli: „Pa-rzałsta, siedidisia” i podali herbatkę. Musiałem podać imię i nazwisko, datę urodzenia, miejsce zamieszkania. Gdy spytali, ile mamy w gospodarstwie krow, odpowiedziałem, że sześć. Oni na to: „Teraz macie dwie”. „Koni?” Odpowiedziałem: „Dwa”. Oni: „Zadnych już nie macie”. I jak się później przekonałem, tak rzeczywiście było. Dokładnie wiedzieli, co mieliśmy. W szkole podzielono nas na trzy grupy: internowani, jeńcy wojenni i robotnicy. Ja należałem do internowanych. Kilka dni trzymano nas w niepewności. Parę razy robili zbiórki i rozgłaszali, że pojedziemy do domu, a potem to odwoływali. Wreszcie zaprowadzili nas do pociągu. Po pięciu dniach podróży znaleźliśmy się w następny lagrze, w którym więziono jeńców niemieckich. Tam zostałem poddany dwutygodniowej kwarantannie, w specjalnie do tego urządzonym baraku. Po tej kwarantannie co jakiś czas zabierali do lekkiej pracy we fryzjerni lagrowej. W tym lagrze były gabinety lekarskie różnych specjalności i gabinet dentystryczny prowadzone przez Niemców. Dentystką była Rosjanka, a jej pomocnicą Polka. Tu nie można było narzekać na brud i złe jedzenie i tu już przypadków śmiertelnych nie było. Trzy miesiące spędziłem w tym obozie nim zostałem przetransportowany do punktu zbiorczego w okolicach Czelabińska, u podnóża Uralu. Wracałem sam, bo brata przetrzymano jeszcze w obo-

zie. Na gwiazdkę 1945 roku byłbym już w domu, ale nasz pociąg do Czelabińska spóźnił się o jeden dzień i później musieliśmy długo czekać na następną. Z Czelabińska ruszyliśmy dopiero po świętach Bożego Narodzenia. Do Polski przyjechalismy 22 lutego. W Teropolu ludzie czekali na nas z koszami pełnymi kanapek oraz z kawą, mlekiem i herbatą. Żołnierze dzielili się z nami papierosami. W Warszawie mieliśmy przesiadkę. Tłok był na peronie i w pociągu, do którego musieliśmy wsiąść. Wtenczas był bardzo duży ruch, bo ludzie przemieszczali się w różne strony. Gdy strażnicy kolejowi dowiedzieli się, że wracamy stamtąd, zaczęli wchodzić bez szemrania i robili nam miejsce.

— Gdy wróciłem, najmłodszy brat, Marceli. był już w domu. Najstarszy przyjechał w czerwcu 1946 roku. Franek miał wrócić w tym samym czasie co ja, ale go cofnęli. Był w młynie księgowym i bez niego nie mogli sobie dać rady. Jeszcze półtora roku go trzymali.

Dziś Teofil Knut prowadzi spokojny żywot emeryta. O swoich przeżyciach przed czterdziestu laty opowiada bez emocji. Nie żali się i nie próbuje oskarżać winnych. Pragnie przede wszystkim, by nie zapomniano o wielu bezimiennych, których prochy przykrywa czarna syberyjska ziemia. ■

T:K-1642/2594 Pom.

Chojnice

Śmit Jan

V. Karty informacyjne

k. 18



KO Pom.
"Szyski 103"
1

KNUT JAN ps. " - "
zob. Szneider J. " Jedliny 102", Arch. AK, B/26-89
s. 62

Komendant grupy partyzanckiej działającej
w okolicy Czerska, współpracujący z oddziałem "Szys-
ki 103", dowodzony przez por. Jana Szalewskiego
ps. "Sokol", "Szpak".

A. Zak. 90



Knut Jan

~~Stowarzyszenie~~ ~~Wartownicy~~
KO „Szybski”

ad. spis g. Snaleskiego par. 172

Sub. P'dca. grupy

Adres: Czerwik, Łanydzka Państwa.



Chojnice
1944

4

Knuth Jan (Kuba) ur. 30.10.1913 r.
członek grupy partyzanckiej 7000 "Grupa Górska"
"ry Górska - Kowala pod Chojnicami -
Przełęczą i wiosną 1944 r. zamieszkał w
i czasie ewakuacji obornie Skutumpah -

Wielkopolski, str. 364.



Chojn.
Grzyf Pami.
Pami. 5

71
H. nut Jan i
bracia

ul. Zi Wł. Lewińskiego 100 (Pami
- oddział braci Knutów linjta ok. 15 osób.

wzm. w "Chojnice" p. red. st. Giernewskiego
wyd. 1941 str 257
Grupa Jania Knuta linjta 11. stankow, posiadał
8 bunkrów w rej. Gutawca, Kłoni i Kwiek.



Part.

+ Knuth Jan - leśniczy
Lesm. Czesk
osuwat wszelkie odwoławcze

mgrk. H. Szymonowicz



Kniuth Jan
ps. „Żubr”

Chojnice
Gryf Pom. I

dowódca grupy partyzantckiej „Gryfa” w
rejonie Gutowiec-Kwidzi, aresztowany
w 1944 r., zginął w Stutthofie

W. Kulesza, Mój okupacyjny las,
Pamiętnia, z. 5/1975, s. 22.

PO-94



PART,
KO 8

KNUT JAN

D-ca grupy m oddziale partyzanckim
"Sąsaki". Zeprotasany przez NKWD
do ZSRR - Roza, prawdopodobnie
Kyszatyn. Uwolniony w czerwcu 1946 r.

AK na Pomorzu, s. 188



Parly? - Bory Tucholskie
ZWZ-AK - synowi 9

Knut Jan

- pochodził z Kartuz. Wraz z braćmi - Teofilem i Marcelim, po podpisaniu wniosku o przyjęcie do III grupy DVI, obawiając się wcielenia do Wehrmachtu uciekł do lasu. Znalazł się w oddziale "Szyszki" dowodzonym przez plut. Piotra Guza. Aresztowany przez NKWD i wywieziony na Ural.

Mat. z Konfer., "Armia Krajowa na Pomorzu",
str. 33
K. Wojt./94r.



PART.
"Gryf Pom."

10

KARUT JAN

20.4. Stefan Gross, M-46, II, s.2

8/1/95



Smut Jan

Chojnice
JOW Gr. P.
11

W V 1942v. Smut Jan.
Dytel.

zob: Szerszy Bernard M: 427/10479m.
2.1/1 s. 40 imp. Choj.

2/2.XII'03



knut Jan

Chojnice

part. AK
"Sygnał"

12

komendant grupy partyzan. kón. Czerska.

zob. list J. Szalewskiego do W. Sznajdera z

24. 08. 1965 r.,

W T.M: 47/656 Pom. J.U. Sznajder,

st. 4, pom. 2

16.01.02



Chojnice
TOW
Czysty Pom

13

Knut, Jan
ps. "Zubr"

Dowódca oddziału partyzanckiego

Zob. T. M. - 1183/1379, Leon Drobniński, ul. III 13
Insp. Chojnice



Knut Jan
a) ps. „Żubr”

Chojnice 14
TOW G.P.-AK

Knut Jan, „Żubr” - urodzony 30 kwietnia 1913 roku, syn leśniczego Franciszka Knuta. Dowódca grupy partyzanckiej „Żubr” - TOW „Gryf Pomorski” w rejonie Gutowiec – Kwieki w powiecie Chojnice. Grupę partyzancką rodziny Knutów wspomagali z pełnym poświęceniem robotnicy leśni: bracia Milki z Kłodni, Landowski z Będźmirowic, Leon Czartowski z Rytla, Jan Górniewicz z Kwiek. Po przejściu frontu grupa wraz z dowódcą została aresztowana przez Sowieców i wywieziona w głąb ZSRR do miejscowości Roza. Jan Knut wrócił w czerwcu 1945 r. Po wojnie w latach 1955-1973 kierownik Gospodarstwa Łąkowego w Czarsku. [źródło: 11, 31, 33, 38, 41]

Leśnikom leśników kombatantów (...)
pod red. J. i S. Sadowskich,
Toruń 2003
AK.T.107



Smut Jan
ps. "Zubr"

Chojnice
JOW "Gr. P."
15

Lesnicy z Plecna, s. Trawiałka,
dwa grupy part. (15 osób), od 1942
stoczyła 5 potyczek z oddz. SS i
Wehrmachtu (było 6 osób z rodziny
Smutów).

zob. art. Lesnicy por. chojnickiego...
t. probl. "Lesnicy w konspiracji"

WŁ. VI'09



Chojnice

16

JAN KNUT PS. „ZUBR”, pochodził spod Czerska, jest synem leśniczego. W okresie okupacji przez cztery lata był dowódcą oddziału partyzanckiego, w którym bracia Knutowie stanowili nieomal połowę oddziału. Po wojnie do 1953 roku był dyrektorem Zespołu PGR w powiecie Sławno, później kierownikiem gospodarstwa łąkowego w Czersku.

zob: W mroku nocy..., zebra. i opr.
Szczepański W., Chojnice 1986.

Mr. x'ip



Smut Jan

Cwojnice
part. "Sygali"

17

nr. 1911, kolejno, die gr. w oddz.
part. AK "Sygali" Jan Szalewski ep,
nr. 24.02. w Kwieckach, wys. 12.03. 1945
z Dziadłowa do Gwozy, następnie prawdo-
podobnie Kyszym, mrocił w VI 1946
sob. Powojenne losy konspiracji
pomorskiej..., s. 203, par. 103

AK XI'11



Grunt Jan
ps. „Zimor”

Chojnice
JON Gr. P. 18

5. leśmistrz z Itečna, dwa gr. part.
- 15 osób, w tym 6 z rodziny Gruntów.
Gr. od 1940 stały się 5 potyżek z
oddz. SS i Wehrmachtu.

zob: Gęsiowski A., Steyer H., Tajma
Org. Wojskowa „Szyf...”, s. 173

skr. X 112



Herut Jan

